

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,  
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1843.

Poznań, dnia 19. Lipca.

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryżskich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Jest to niewątpliwą zasadą, że aby mieć tylko cel ogólny i pracować dla niego, chociaż się napotkają przeciwności, chociaż wszystko pójdzie na opak, przecież wynika skutek dobry, jakkolwiek wcale inny, niż zamierzono. Nasze towarzystwa po prowincyi, niby to przeznaczone na zabawy społeczne, przecież chcą się okryć czy lepszym blaskiem, czy też rzeczywiście osiągnąć coś ważniejszego, występowały z wielkimi projektami posuwania umiejętności, przygotowania materiałów historycznych, wzniesienia przemysłu, wychowywania przyszłych pokoleń. Wszystko to nie mogło się powieść skutecznie, bo takie rzeczy nie zależą od woli kilku osób, zgrupowanych w okolicy jakiego małego miasteczka. Było to do przewidzenia: wielu nawet ludzi czynnych przy zakładaniu podobnych towarzystw, wiedzieli, że cel nigdy osiągnięty nie będzie, ale nie małej wagi pokażą się korzyści. Zbrodnią też byłoby dziś powiedzieć, że te towarzystwa nie wywarły żadnego wpływu na postęp. Owszem jest rzeczą niewątpliwą, że nawet przyszły historyk będzie musiał na nie zwrócić swoją uwagę, jeżeli będzie chciał co powiedzieć o postępie ducha na ziemi polskiej. To, co położyli lepsi pisarze jako zagadnienia czasu, to, co na wszystkie strony rozbiegały dzienniki, nigdzie bardziej jak w towarzystwach w celu zabaw związanych wyrabiało się i wpływało w czyny ludzi, których stanowisko społeczne wywiera wpływ na klasę, zmuszoną zwracać całe usiłowania tylko na to, aby miała z czego swe biedne życie utrzymać. Niedawne to czasy, że niejeden lubił się nawet pochwalić, jak z pewną surowością dnia tego lub owego wystąpił względem chłopca. Dzisiaj już jest inaczej: kto nie potrafi swęj dzikięj krwi wstrzymać w zapale

Rok czwarty.

gniewu, ten pewno z tego wielką tajemnicę robi. Tak po wielu stronach widać usiłowania do podniesienia stanu włościańskiego, przez zaopatrywanie szkółek do breml książkami. Są już dosyć liczne wsie, gdzie w niedziele siedzą przed chałupami młodzi i starzy, i przysłuchują się odczytywaniu Pielgrzyma z Dobromiła, lub niejednej innęj dobrej książki; nawet chłopcy po pastwiskach nie zawsze już grają w kamyczki, ale także obsiadają naokół swych uczonych i słuchają ich prelekeyi.

Ta wiejska młodzież czytelnicza jest daleko moralniejszą, postuszniejszą, a całkiem wolną od skłonności do kradzieży, pijaństwa, bijatyki. Jakże to niedawno temu, żeśmy słyszeli rozbiory, czyli potrzebną jest rzeczą, aby chłopów uczyć czytać i pisać, a któż dziś nie postrzega, że to im wprzód potrzebne, niż umieć orać i młócić, bo tylko czytelnictwo w każdym stanie mnoży dobrych ludzi, a każdy stan im ich więcej liczy, tém lepiej odpowiada obowiązkom swoim.

Towarzystwa po prowincyi dla zabaw społecznych zawiązane, przyczyniły się do tego już nie w jednę okolicy, lecz wszystkich oświeconych mężów i kobiet po wsiach mieszkających chcielibyśmy zwrócić uwagę, ile to dobrego małym datkiem, a całkiem bez zabiegów zrobić mogą. Że czytelnictwo wzniecone w którejkolwiek wsi robi postęp niesłychany, to słyszmy od wszystkich, którzy tylko jaki taki dali mu początek.

## Co ją jeszcze wiązało?

POWIEŚĆ L. SIEMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

Opowiadający uciął — podobno łzę otarł, bo dopiero po małym przestanku nabrawszy w pierś oddechu, tak mówił dalej:

— Naprzeciwno mnie był jeden z pierwszych pensyonów żeńskich w Warszawie. W wąskiej ulicy łatwo mi było widzieć przez okna, wszystko co się działo tam wewnątrz. Ale dotąd ciekawość moja nie była niczem podniecana: same pustoty, śmiechy, igraszki młodego wieku, nie miały pociągu dla mnie, com marzył o kochance, jakiej na podświetlonym niebyszało świecie. — Co więcej, nie lubiłem moich sąsiadek — kobieta ślęcząca nad gramatyką, strofowana i stawiana na pokucie, obmazana atramentem i zagryzająca chleb z powidłami na podwieczorek, zdawała mi się być szyderstwem z mego anioła i z tą to częste im płałem psikusy, odbierając wet za wet, jeśli się sposobność zdarzyła. — Lecz pewnego razu smutniejszy niż zwykle, siedziałem podparty w moim okienku: przedemną leżał otwarty kodex Napoleona, czytałem go, a razem i marzyłem o niebie, o kochance, o bohaterskich poświęceniach za ojczyznę, o ślicznych nadziejach w przyszłości — wzrok mój, który często się zatapiał w jasny błękit nademną, przeniół się mimowolnie na pierwsze piętro kamienicy, gdzie był ów pensyon — tam ciekawość wikłała mnie w scenę: przy otwartym oknie salonu siedział jakiś starzec z siwą, upudrowaną głową i z gwiazdą przy boku, a naprzeciw niego jedna z pensyonarek, śliczna jak aniołek bruneta, czoło wszystkich swoich rówieśnic; obok niej wykręcał się na pięcie jakiś fertyczny, młody oficer. Nie mogłem słyszeć rozmowy, ale z ruchów i jestów dorozumiewałem się wiele... Starzec coś patetycznie rozprawiał, uśmiechał się i gładził po twarzy dziewczynę; oficer przymilał się i podawał pakecik, zapewne cukierków — lecz panienska rumienila się, spuszczała oczy i z niejakim wstrętem przyjmowała nadskakiwania. — Dotąd nigdy na nią niezwracał uwagi; teraz — im bardziej się wpatrywałem, wyobraźnia rozpalala się widokiem nieporównanej piękności. Wyobraź sobie pani, oko pełne, łzawe, przysłonięte długimi rzęsy; brwi tak równe i łuczaste, jakby namalowane jednym pociągiem pędla; a na ustach uśmiech taki słodki, a przytęm taki cierpiący, jak tych aniołów, co z góry patrzą na nędzę naszego padola... Ta kobieta musi czuć i kochać —

pomyślałem — do niej przykujesz swoje przeznaczenie; ona potrafi cię zrozumieć — ona.... Tu dwaj panowie żegnali się z pensyonarką; starzec całował ją w czoło, wojskowy w koniec rączki. Wyszli; pakiet cukierków został — na stoliku; topilem weń wzrok zazdrośny i myślałem: zginęła! jeśli choć jeden skosztuje. Śledzę jej ruchy: wychyliła się przez okno, patrząc za odchodzącymi, póki nie znikli w zakręcie drugiej ulicy; potem odskoczyła, wzięła cukierki — rozwija... mnie w oczach pociemniało — ot już wszystko przepadło!... ot jeszcze jeden urok stracony!... W tęp dolatuje mię głośny krzyk z ulicy — kilkanaście dzieci bije się około rozsypanych cukierków: panienska bielutką rączką wytrząsa ostatek z papieru.... Nie kocha go! zawołałem w szalonym tryumfie; wiośniane jej serce musi być wolne jak skowronek i jak skowronek wlatywać zawsze w niebiosa; tam, w krainie gwiazd i obłoków, tam prędzej się rozumieją nasze dusze, niż w tęp duszącej atmosferze zepsucia. Odtąd przestałem być sam jeden na świecie; widywałem ją codnia, codnia oddawałem dobrydzień i dobranoc; w modlitwie wzywałem ją jak anioła, by strzegła mię od złych myśli; nią się zaludniały pałace moich bujnych urojeń; — słowem, była to miłość cicha, potulna, tajemna, a przytęm tak gwałtowna, wymagająca takich ofiar ducha i ciała, do jakich mógł się tylko usposobić samotnik Tebaidy.... Poprzysiągłem był sobie nieobjawić jej tego żadnym zewnętrznym znakiem; pochodziło to z wstrętu do owiej obcesowości, jakiej się nieraz zepsuta młodzież nasza dopuszcza z płcią piękną; za nic w świecie nie byłbym pytał sług o jej nazwisko, a jeszcze mniej odważyłbym się na posłanie listu z oświadczeniem.... Miłość w owym wieku mogłaby się nazywać ustawną modlitwą do Bóstwa, którego nie widzisz, ale odgadujesz przecuciem, że jest, że ciebie słyszy, że tajemnym językiem z tobą rozmawia.... Raz tylko dopuściłem się takiego grzechu i dotąd pamiętam, jaką walkę odbyłem ze sobą. Było to po południu; panienska z ochmistrzynią wyszły na przechadzkę; ona — została w domu i haftowała przy oknie; domyślałem się, iż była cierpiącą, bo rumieniec zniknął i twarz miała podwiązana... — Teraz pora — rzekłem do siebie — wpadnę, klękę przed nią, wyznam — a potem skoczę oknem i głowę roztrzaskam o bruki. Bóg wie na jakie nie wpadłem pomysły, jedne szaleńsze od drugich; gorączka mię paliła; mózg się przewracał — padłem na podłogę i wilem się w płaczu trawiony jałdem serdecznym.... Trzeba mi było ulgi koniecznie; trzeba było bodaj do lada ździebelka przyczepić ogromne nadzieje.... Rano wychodząc na miasto, kupi-

tem był bukiet róż i wstawiłem w szklanke. Szcześliwy pomysł! róża niech moje uczucia tłumaczy; — jeden pączek, ten, najświeższy niepowinien ją obrazić, przecież i święci nie gniewają się za kwiaty na ołtarzach?... Uszczknąłem — wymierzyłem — i, pączek w sam raz upadł jej na kolana! Co się dalej stało? — niewiem, bom nieśmiały spojrzeć na dół, trzęsąc się jak po dokonaniu najczarniejszej zbrodni.

Mijały dnie, tygodnie, miesiące, namiętność moja niczem się nieobjawiała; żyłem jak sknóra na swoich skarbach, kryjąc je zazdrośnie przed ludźmi. Bóg wie jak długo trwałbym w tym stanie; — czy z laty byłbym ostygł i skończył na prozaicznym kontrakcie ślubnym? czy byłbym wyszedł jak Werter, jak Gustaw? najpewniej, że jak ci dwaj excentryczni kochankowie; bo w młodym wieku myśl samobójstwa ma tyle powabów, tak często napastuje cię, że chcąc uchwycić jedną z chimerycznych mar, którymi się karmisz, nie widzisz prawie innego środka... Na szczęście czy nieszczęście dla mnie wszystkie te szły skreśliły się ku innemu celowi. Jeden z moich kolegów wprowadził mnie w grono współbraci knujących czyn bohaterski — miało to być szczytne zrealizowanie hymnu do młodości... Zamiar olbrzymi, środki niepewne i wątpliwe, rozwiązanie mogło się kończyć rusztowaniem. Śmierć bohaterska, śmierć poświęcenia się, pogodniej mi patrzyła w duszę, niż kilka kropel trucizny zażytych w izdebce na poddaszu, lub zimne łoże na dnie wiślaném.... Rzuciłem się też w ten odmet z taką siłą zapatu, jak w ową niepodobną miłość... nierządziły mną ani widoki osobiste, ani duma; wszędziem był, nieobliczał, narażał się, poświęcał, a imię moje, jak dla kochanki, tak dla ojczyzny, zostało wieczną tajemnicą....

Słyszałaś pani zapewne, a może i patrzyłaś na wypadki i zmiany, jakie zaszły podówczas... O sobie niemał co powiedzieć, prócz żem z prostego dostługiwał się i nieżałowałem ręki, gdzie tylko okoliczność się zdarzała.... Po skończonej trajedii nie mając po co wracać do domu, którego nigdy nie miałem, różnym zbiegiem stosunków i trafów dostałem się był na Węgry... Zaczny jeden obywatel przyjął mnie gościnnie i uważał prawie za syna. Materyalny byt nie zostawiał mi nic do żądania; ale tęsknota obwijała się jak wąż około serca, ssła mię, spoczynek czyniła nieznośnym; stan ten gorączkowy podsycali jeszcze pogłoski o jakichś ruchach i wstrząśnieniach na zachodzie. — Ubolewałem na samotność, na to odłączenie się od braci i byłbym oddał wszystko, byle znaleźć kogoś, z kimby można było po swojemu i

o swoich pogadać... Zdarza się, iż w sąsiedztwo nasze, przyjechał do dóbr swoich hrabia K\*\*\* magnat węgierski — był to wdowiec i miał dwie córki, jak mówiono, cudnej piękności. — Nie długo po przyjeździe, oddał wizytę memu gospodarzowi z całą familią, do której liczył się także młody Polak, bawiący u niego. Prezentował go jako przyjaciela. — Spotkanie to ucieszyło mię niewypowiedzianie; poznaliśmy się, zaprzyjaźnili nawet i odtąd stosunki między nami stały się częste i ścisłe. W bliższem jednakże pożyciu, pod polem salonowego wychowania, uderzyły mię wielkie wady w moim rodaku; między innymi mówił nadzwyczaj wiele o swoim mężowie, zmyślał nielitościwie, mięszał się w gry i przegrywał składkowe pieniądze — przytém intrygował kobiety i nadskakiwał im, co mu jednał jaką wziętość w kompaniach. Taki charakter zupełnie nie rymował z mémi wyobrażeniami; musiałem jednakże z nim przestawać, gdyż, jak mówi przysłowie: na bezrybiu i rak rybą. Niebędąc z natury zbyt bystrym w odkrywaniu cudzych skrytości, nieprędko dostrzegłem, że mój kolega — (nazywał się wtedy Sobieskim, gdyż właściwe jego nazwisko nie zdało mu się dość europejskiem) był zakochany w młodszej córce hrabiego; — osoba ta niewinna, niedoświadczona, ślepém przywiązaniem przylgnęła ku niemu; — znając lekkomyślność jego, przestraszyłem się o dalsze skutki — i, pewnego razu wzięwszy go na bok, przedstawiałem, iż znając dumę i majątek ojca panny, nie sądzę, aby zezwolił kiedykolwiek na ten związek, co mię tém więcej utwierdza, iż oboje lękacie się nawet cieniu podejrzenia ze strony hrabiego. — Sobieski zbyt mię żarciem, wyparł się; ale gdym mocniej natarł, wręcz oświadczył, iż ojciec ratując honoru córki, będzie musiał na ślub zezwolić.

— Tak mi wypadło z rachuby — dodał i uśmiechnął się zrozumiale.

— Oburzyła mię ta czarna niewdzięczność i nikczemna rachuba; — odtąd ochłódtłem dłoń zupełnie, i przestałem go odwiedzać. Mija kilka miesięcy, aż pewnego poranku wpada do mnie Sobieski ogromnie zmieszany.

— Ratuj mię! w djabelnym jestem ambarasie; wszystko wydało się; w domu sądny dzień; muszę uciekać na łeb na szyję; a na nieszczęście goły jestem jak palec, jeżeli możesz, pożycz mi kilka dukatów na drogę — onegdaj zgrałem się do grosza...

Struchlałem cały na tę wiadomość, wyobrażając sobie rozpacz starca, łzy i hańbę uwiedzionej panienci, najbardziej zaś dotknęło mię, że ten cios wyszedł

z ręki obsypanej tyłu dobrodziejstwy. Sobieski tymczasem jakby nie nie zaszło, gładził sobie przed lustrem włosy szczoteczka i pogwizdywał skoczno mazurka... Ta zimna krew zobojętniła we mnie pierwsze uczucie litości; jużem sięgał do kieszeni, lecz postrzegłszy tę niedarowaną lekkość, wybuchnąłem z gniewem:

— Niemam ani złamanego szeląga dla niewdzięcznych, co nadużywają gościnności obcego narodu; proszę pana, wynoś się ztąd; znajomość z takim nikczemnikiem już dość mię hańbi.

Sobieski nie spodziewając się takiego przywitania, zmieształ się z razu, lecz po chwili oczy mu się zaiskrzyły, stanął jak pias i grożąc mi pięściami, przyskoczył...

— Powoli panie awanturnik — zawołałem — w obcym domu burdy się nie robi; jeżeli masz serce i kroplę krwi szlacheckiej, rozprawimy się w honorowy sposób. —

— Rosprawimy się! rozprawimy! powtarzał trzęsąc się ze złości; tymczasem zdjąłem ze ściany dwie szable, schowałem pod surdut i wyszliśmy za ogród. Znalazłszy dogodne miejsce, wpadliśmy na siebie z dobytymi szablami; po kilku cięciach odbitych, Sobieski powalił się na ziemię, zadałem mu głęboką ranę przez czoło.... Gdy się to dzieje, ojciec nieszczęśliwej córki wpadł już do dworu szukając uwodziciela; — któryś z sług widział nas wychodzących do ogrodu i powiedział to hrabiemu; cała więc banda goniących rozsypała się po gaju i otoczyła nas... Na widok zrozpaczonego starca lzy mi się zakręciły, przystąpiłem doń, wziąłem za rękę i rzekłem z godnością: Panie! pomściłem się i za twój i za honor mego narodu...

— Resztę zemsty zostawmy woli Boskiej! — odpowiedział jakby zaspokojony w pragnieniu, na widok obfitego strumienia krwi — i kazał swemu doktorowi, aby miał około rannego staranie... Tak się skończyła ta brzydka scena; wkrótce wyjechałem z tamtych stron w zamiarze dostania się do Galicyi lub Krakowa, Sobieski prędko się wylizał, ale gdzie się podział? — nikt nie umiał mi powiedzieć...

— Po długiej włóczędze przybiłem się nakoniec do Krakowa. Wielu znajomych szkolnych i wojskowych, których tam znalazłem, uprzyjemniało mi pierwsze chwile pobytu; lecz powoli miłe nasze schadzki i pogadanki przybrały charakter sejmików; opinie zaczęły się ścierać, wyrabiać; aż miejsce ich zajęły kłótnie i nienawiści, te wywołały koterye i partye, które aczkolwiek chwalebne, niemniej jednak szkodzą ogólnemu dobru, bo zapuszczają się w drobnostki, a tém samém tracą z oczu cel główny. — Nienawidziłem niezgody, przeto usunąłem się zaraz na bok

i żyłem prawie samotny. — Wieczorem najwięcej lubiłem przechadzkę na plantacjach; tłum przesuwiający się zajmował mię; bawiłem się charakterystyką rysów; odgadywałem jakie kto ma skłonności, jakie wady, do czego talent lub jeniusz? Passyę tę wzbudziło we mnie czytanie Lawatera; jednakże wyznam pani, nauka ta na nic mi nieprzydała się w życiu z ludźmi, gdyż więcej nierównie rzązą nimi stosunki społeczeństwa niż jakiś tam guz od urodzenia... Pewnego wieczora, gdym jednemu z moich znajomych decyfrował fizionomię jakiegoś spanoszonego przechrzyty, który nas lornetował z daleka, zasłoniły go nam dwie przechodzące osoby: był to poważny siwy starzec z gwiazdą przy boku, prowadzący pod ramię damę ślicznej kibici i słusznego wzrostu. — Coś mi szepnęło: To ona! — Zerwałem się i pobiegłem kilka kroków bliżej. — Tak jest — nieomyliło przecucie — to była ona, mój ideał, moja śliczna pensyonarka! a to jej opiekun — poznałem od razu, choć znacznie podrosła, choć nabrała tak zgrabnych ruchów, takię przytęm godności niewieścię, choć tyle wyrazu przybyło w każdym wdzięku, że aż się zdumiałem, aż dusza rozśmiała się na ten kwiat rozwinięty w pełnej ozdobie... Pierwszą myślą moją było, dowiedzieć się, gdzie mieszka i jak się nazywa; — szedłem więc za nimi, ale jak na przekorę, elegancki powóz czekał na nich przy plantacjach; wsiedli — a lubom gonil z początku, musiałem rad nierad ustać, niemogąc wydołać rączemu kłusowi koni... Odtąd niezmordowanie ucześniezałem na przechadzki publiczne; zwiedzałem kościoły; nieopuszczałem teatru, a każda kobieca twarz w oknie zajmowała moją uwagę. Prózne zabiegi! parę tygodni minęło, a poszukiwania moje nie odniosły żadnego skutku. Jużem był się pożegnał z nadzieją; kiedy pewnego razu w kościele Panny Maryi modląc się o znalezienie méj zguby, postrzegam kłęzącą przed ołtarzem kobietę, której kibic, ruch, wzrost przypominały mi straconego anioła. Zemną był jeden z dobrych przyjaciół, Krakowianin, znający na palcach wszystkich mieszkańców, a mianowicie płci żeńskiej; ten widząc ciekawość i pomieszanie moje, szepnął do ucha:

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Dokończenie Osteologii.

Capricioso.

Pokrótce już przejdziemy ostatki szkieletowego ustroju człowieka. Uderza naprzód, że to wszystko, cośmy o plecach powiedzieli, zgadza się z wy-

obrażeniami ludu. Wyobrażenia te złożone są w języku, i dowodzą, że lud nasz dokładnym był znawcą osteologii, choćby mu lekarze ex professo tych wiadomości może przyznać nie chcieli. Należycie pojęli owi pierwiastkowi twórcy języka narodowego znaczenie całej siły i treści, jaka leży w tej właśnie tylnej części szkieletu ludzkiego. Pło, wyraz zastarzały, od czasu, od którego lud nasz polski tracić zaczął znaczenie, wyszedł także z używania, i ze znaczenia — wyraz, który utrzymał się w nazwie jeziora Go-pło, około którego Lechici pierwsze swoje zakładali siedliska; — wyraz ten znaczy czyste, rozległe tło wody stojącej, zaczynające się na głębinie, tam, gdzie się kończą zarośla, trzciny, oczerety. Plecy, biorą swój źródłosłów z wyrazu pło, do czego dała może powód podłużna owa wklęsłość na tyle ciała, osaczona w okół od ramion i boków, jak gdyby wzgórzem brzegowem. Nie zważano u nas nigdy na to znaczenie, że prawdziwą głębią narodu jest lud, czysty jak pło, wśród różnorodnej narośli cudzoziemczyzny, co się brzegów i miałczyzn uczepiła, ale w onej toń korzeni swoich zapuścić, ani wyrość po nad powierzchnią nie podolała.

Narodowe przysłowia głoszą: ma dobre plecy, to jest ma za sobą kogoś, co posiadając władzę i znaczenie, potężną wesprze go swoją protekcją, i zasłoni go wpływem swoim; zapewnić sobie plecy, to jest zapewnić sobie osoby, od których powiedzenie się zamysłów naszych zależy; mieć popleczników, to jest ludzi do korda, na których się w potrzebie odwołać można. Już te przysłowia dowodzą, że w czas, jak to mówią, kota przewrócono, że tam szukano pleców, gdzie ich nie było. Władzać wszelka, to widać, wyszła od pleców, ale o tym zapomniano. To fałszywe zapatrywanie się na rzeczy, szukanie mocy fizycznej na przodzie, zamiast na tyle, musiało mieć smutne następstwa. Zawsze u nas w tém złudzeniu szukano ratunku i pomocy, gdzieś daleko przed sobą, mając ją tuż za sobą w silnych, rozłożystych i barczyстых plecach.

Atoli ci sami twórcy językowi pojęli oraz, że ta siła pleczysta, stworzona do pracy, a ciężkiej pracy rolniczej, w nagrodę której czeka ją uciemienie, słodzone chyba samą religią. Wyróżnili bowiem na plecach barki, łopatki, kość pacierzową i krzyże. Cztery nazwy nie nadaremne znaczenia. Dwie pierwsze wyrażać zdają się przeznaczenie plec fizyczne, dwie drugie przeznaczenie moralne. Wśród ludu rolniczego przedź podobno były barki do pociągu, i łopaty do kopania, zanim poznano i nazwano te osteologiczne części ustroju człowieka, które snąc przez

podobieństwo przezwano wyrazami już gotowemi różniczemi. Lud przeznaczony do samej pracy, widział swoją personifikacją w plecach, bo był w narodzie barkami i łopatą. Niedolę ziemską i ciężkie znoje jedyna słodziła mu religia. Bogobojny dokupywał się nabożeństwem królestwa niebieskiego, i ścisnął żarliwie paciórki w rękę, jako talizman wszystkiego swego szczęścia, gdy na nich pacierze rozańcowe odmawiał. Zsuwał koral po koralu, dziesiątek po dziesiątku, aby mu tak skwapliwie schodziły dni żywota i dziesiątki lat jego, i przyszła śmierć, co go do wiecznego odpoczynku i wiecznej szczęśliwości przyprowadzić miała. Cóż zatem dziwnego, że, gdy w szkielecie anatomicznie rozebrany, ujrzał sznur kostek, ciągnący się przez całe plecy, że mu się zaraz nastroczyło podobieństwo sznuru paciorkowego, i takowy kością pacierzową nazwał, jak gdyby litując się plecem, jak on, na samą pracę wskazanym.

Na zgięciu plec są krzyże, symbola wielorakich ucisków i cierpień. Człowiek prosty mówi, gdy go nieszczęścia nawiedzają: „Bóg wiele na mnie grzesznego zsyła krzyżków“, czując się niegodnym, by z krzyżem, znakiem zbawienia, porównał niedole swoje. Ale lud znosi krzyże za pierwotne grzechy Adamowe, (a tym Adamem, co przetracił raj ojczyzny, są ci, którzy lud nazywał panami swymi). Bodajby i one kiedyś były znamieniem choć nie wiecznego, bo to nam nadludzką zasługą już okupionem zostało, ale doczesnego zbawienia, i wróciły w imię tych zasług raj utracony.

Narzekamy często, że nas krzyże bolą. Nowoczesna choroba, będąca skutkiem nieporządnego życia, i udzielająca się już w spadkodawstwie po rodzicach, tam właśnie obrała swoje siedlisko. Były narody, chylące się do upadku, u których złe wżarło się w cały organizm, do samego ludu zstąpiło skażenie charakteru i obyczajów, i zapiekło się boleściami, dającymi się czuć w całym narodzie. U nas na szczęście naród nie wyrzekł tego w dziejach, by go kiedy krzyże bolały, choć narzekał na głowę, na gardło, na piersi, i na rozmaite choroby przodku.

Od plec po obu stronach wypukłe kościste obręcze opasują wewnątrz ciała. Zowią je żebrami. Miałyby to być żebraki szkieletowe, jak lud bez własności i mienia, co na starość, po długoletnich wystugach czy to w żołnierce, czy w służbie, wychodzi na żebraka, albo na tak nazwany chleb łaskawy, będący także tylko miłosierdzia datkiem? Dopełniłaby się tém miara złego, iszcząca się rzeczywiście mniej więcej. Atoli na zaszczyt ludzkości, wolimy, że etymologowie inny wysłędzą źródłosłów owej nazwy osteologicznej. —

Wszakże człowiek z wszystkiego dumny, ilekroć nadyma się, ujmuje się pod boki, jak gdyby chwytając się za te obręcze cielska swego, chciał powiedzieć: oto porządna ze mnie kłoda, dokładnie pobita, nie wycieka nigdzie rozcieczą miłości bliźniego, ani uczucia serca z niej nie przesączą. Ci ludzie dumni z majątku, co to w zarozumieniu dobrego mienia domacują się obręczy swoich, zadają fałsz legendzie Mojżeszowej o ulepieniu z gliny człowieka, i robią Stwórcę swego bednarzem, a ludzi beczkami, co są na to, aby je napelnić tylko pokarmem i napojem. Ale powie kto: marzysz mój Osteologu, i czyste brednie nam prawisz. — Nie tyle, jak się zdaje. Niemasz żadnej myśli pod słońcem, któraby się w rzeczywistość nie oblekła kiedy. Mówią wszakże u nas o jakimś magnacie, co miał w sklepie beczki pieniędzmi napelnione, i ponadawał im imioną; nie brał, ale pożyczal od nich i rewersa na ich imię, jako swym wierzytelom wystawiał, i najrzetelniej terminu dotrzymywał. Jeżeli więc beczki mogły być ludźmi, daleko łatwiej ludzie mogli zostać beczkami.

Tytyw w sielance Wirgiliusza opowiadając Melibeuszowi swoje przygody, a mianowicie swą podróż do Rzymu, wyraża się po sielsku:

Psom równałem szczenięta, jagnię do macierzy,

Tak się zwykle po małej rzeczy, wielka mierzy;

Lecz Rzym o tyle szczyty wznosił nad inne miasta,

Ile cedr poziome kaliny przerasta.

I myśmy w osteologii naszej właściwie szkielet narodu wszędzie upatrywali, rozniosły jak cedr na Libanie, i w porównaniu z nim szkielet człowieka zaledwie kalina. Boć i naród jest, jak jeden człowiek, i socyalny organizm narodu do szkieletu ludzkiego mógł być podobien. Zresztą myśl ta nie jest nowa, prześwietla ona już z fantastycznych wyobrażeń Indów, i ze spokrewnionej z nimi mytologii Gotów. Z głowy Brama wyszli Bramini, a z rąk i nóg jego kasty indyjskie. Rozpatrzmy się, jakby się ów Brama rozpołożył w nowoczesny naród.

Głową narodu jest władza troista: świecka, wojskowa i duchowna. Dwie pierwsze zwykle z sobą połączone. Nasi pogańscy przodkowie lękali się połączenia wszystkich trzech w jedną głowę, i woleli mieć bóstwo najwyższe, Tryglów, o trzech głowach. Takie ustosowanie porządku socyalnego w wielką piramidę, na której czubku byłaby jedna korona o troistój władzy, jest najniebezpieczniejsze jedynowładztwo, zamieniające naród w maszynę. Pojrzyj przed arsenał. Ujrzyś tam symetrycznie w piramidy ułożone kupy kul. Przybliż się więc, a zobaczysz na tej, która jest wierzchołkową, napis kalibru, wagi i liczby, i do-

wiedziałeś się o wszystkim, więc ci wiedzieć nie trzeba. Wszakże zastanawiając się bliżej, zauważysz, że ta kształtność zewnętrzna na ucisku oparta. Krom wszystko znamionującego wierzchołka, reszta przyciśniona; każda warsztwa wyższa niższą gniecie, aż ostatnia, całym ciężarem tej sztucznej całości do cała prawie w ziemię wciśniona, i zaledwo czubkami, niby czaszkami swemi sterczy. Pomyślisz dalej: gdyby był rząd tak jedynowładny na ziemi, jak ta piramida, na kulach opierałby się musiał, i podobnie ustosowanaby być musiała społeczność narodu. Kiedy Ludwik XIV. wyrzekł *l'état c'est moi*, miał naród francuzki za taką piramidę kul, a siebie za kulę wierzchołkową z napisem. Samęj massy kul w takim ustosowaniu nie widzisz, ani one światła słonecznego nie ujrzą. Te co są po boku, ściskają środkowe, i za to część światła na nie pada. Sprawiedliwości tu nie szukaj. Bo jakże brzęk uderzonej kuli z ostatniej warsztwy dojdzie do owęj wierzchołkowej, kiedy droga idzie przez bezpośrednią warsztwę cisańczą, a potem przez inne jeszcze liczne warsztwy ucisku. Zaledwie szczylinami, boć hermetycznie ani kul zestosować niemożna, przekradnie się brzęk ów na powietrze.

Szyja łączy głowę z tułubem ciała. Cóż naród łączy z rządem? Urzędnicy. Jest to gardziel bezdenna, przez którą przepuszczają się wszystkie dochody państwa. Ale tędy też idzie kanał oddechowy, bez któregoby naród żyć nie mógł. Więc uszanowanie dla urzędników! A Brama śnać wiedział o niebezpieczeństwie, i owemu wielorybowi narodowemu mały otwór w gardzieli zostawił, bo inaczej wypiłby morze, i zgłodził okolicę.

Piers to obywatelstwo. Stan rycerski w dawnych czasach, dziś stan zasług i poświęcenia. On siebie nadstawia wszędzie, on jest przodkiem narodu. Rak piersiowy, to śmiertelna choroba. Lekarze operują, kiedy pierwsze stwardnienie się zawięzuje (skiros); późniejsze operacye nadaremne. Biada więc narodowi, gdzieby się piers jego skancerowała, większa biada, gdyby się wczas nie wzięto do uleczenia, bo później i operacya nie pomoże.

Szerokie plecy Bramy rozlały się w lud mnogi, w pło przejrzyste, najdłużej utrzymujące się w nie-skalaniu. Po niem unosi się nawa narodowa, mądrym sternikiem kierowana; w oczeretach zatacza się i na mieliznie osiada. Kość pacierzowa narodu, a w niej mlecz narodu, przechodzi środkiem, i starcza pożywnych soków wszelkiemu narodowemu zapłodowi. Gdy ten mlecz wysycha, nie ma ratunku przed śmiercią, i skon w boleściach bliski. Jest to potęga fizyczna narodu, są naturalne jego plecy, któremi się za-

przec może. Krzyż na nich jest jak ów krzyż Izraelitów na puszczy, z zawieszonym miedzianym węzem, symbolem zdrajców, na który to krzyż kto wejrzy, od ukąszeń jadowitych węzów uzdrowion będzie.

Z plec wyrastają ramiona, siła obronna narodu, łącząca lud i obywatelstwo, jak ramię, wychodzące środkiem bark i piersi. Rozchodzą się z tego źródła ręce i nogi, co się rozrosły w stany pracowników i przemysłowych. Przemysł i praca dźwiga naród i porusza go z miejsca na miejsce. Ale przemysł i praca będące dźwigniemi narodu, nie są jego żywotnemi siłami, bo bez nich życie utrzymać się może, choć życie niedołężne, życie tułubu. Praca jak ręce, zastąpić jeszcze potrafią przemysł, i nadać jakikolwiek ruch ciału. Bez pracy jak bez rąk, już życie okaleczałe, znieruchomiłe.

Praca wszelka idzie od serca, od piersi, najbliższej spokrewniona z poświęceniem. Przemysł wyrosł ze zysku, uczepił się materyalności, uciech dotykanych i najdalej odbiegł od poświęceń. Golenia to istne symbole plutokratów. Wyrosli na przemyśle nóg, przez długie naginanie kolan, bijąc pokłon molochowi złota, aż wzmogli się, puchem ciała obrzucili, i zanurzyli w bezwstydzie zbytku i nagiętej materyalności. Pójrzyj na wolną Amerykę, opierającą się usamowolnieniu Negrów!

## ROZMAITOŚCI.

U Günthera w Lesznie wyszedł pierwszy poszyt „Piosnek dla ludu wiejskiego“ przez Julią Woykowską. Wszystkie piosnki odznaczają się prostotą i są poezją; większa zaś ich część ma za osnowę wyrzekanie na uciemieniania panów.

Wodospad Niagary. Przed dwoma laty zwiędziła pewna Francuzka największy w świecie wodospad. Po powrocie swym do Nowego Jorku tak opisuje rodzicom swym wrażenia:

Nakoniec opuściliśmy niemiłą nam Kanadę. Nie mogę wam kochani rodzice dosyć opisać radości, jakiej ztąd doznaje, bo nieraz myślałam, że nigdy nie obaczę ani miłej mej ojczyzny, ani drogich mi osób; zdaje mi się, że bez męża utraciłabym zupełnie odwagę. Nie chcieliśmy opuścić Kanady, nie widząc sławnego wodospadu Niagary. Jaki piękny! Życzyłabym tylko cudo to opisać. Ale ani pióro, ani pędzel nie są w stanie powtórzyć jego piękności. Wrażenia moje są tylko snem, które wyobraźnia w zaczarowanych obrazach przedemną przesuwa. Wystawcie sobie rzekę szerszą

pięćdziesiąt razy od Sekwany, spadającą prostopadłe w otchłań 300 stóp głęboką. Spad ten tak jest gwałtowny, iż woda zamieniona w parę bryzga do wysokości, z kąd spłynęła. Tu tworzy się Niagara, i wpada do jeziora Ontario. Dziwną jest rzeczą, iż woda po takim wzburzeniu, sto stóp od wodospadu, tak spokojnie płynie, jak strumień najłagodniejszy i na małym ezolentku zupełnie bezpiecznie przebywać ją można. Cokolwiek dalej znów wzburzone wody balwanami się toczą. Cała okolica jest uroczą, wody tworzą tysiące kaskad, naprzeciw którym sztuczne wody Wersalu są karłami. Cały dzień przeszedł na zwiedzaniu tych osobliwości i przechodzeniu tysięcy schodów, od czego miałam nogi jak rozbite. Wróciliśmy obłoceni i przesiąkli wodą, z podartemi pończochami i trzewikami, bo zawsze szliśmy po kamieniach gładkich wystających, i kaleczyliśmy sobie nogi padając co chwila.

Nie mogę się przecie wstrzymać, choćbyście nas połajali, od opisu, jakim sposobem przeszliśmy pod wodospadem. O kochana matko, proszę przebaczyć mi i uspokój się, zaręczam, że drugi raz nie wystawimy życia naszego na podobne niebezpieczeństwo i że więcej sobie czynimy wyrzutów za naszą śmiałość, aniżeli się przechwalamy. Stawcie się duchem na owym miejscu, gdzie spada ogrom takiej wody ze skały, jak powiedziałam prostopadłej. Niemal w środku wodospadu skała naprzód wystaje, tak iż między wodą a skałą przejść można. U skały znajdują się kółka żelazne, przez które lina przechodzi, ażeby ci, co się ośmielą przechodzić po tej okropnej drodze, mieli za co się chwycić, aby nie wpaść w otchłań, o co łatwo, jeżeli noga się poślizgnie.

Przed tą okropną podróżą ubierają się zwykle w grubą koszulę flanelową, surdut flanelowy, a nato w opończą gumową, której kaptur wkłada się na kapelusz z plecionki koszykowej, cały ubiór wiąże się powrozami u szyi i u przepaski. Dodajcie do tego parę pończoch grubych i sandały, a przynajmniej piękną toaleta. Nie mogliśmy się wstrzymać od śmiechu, patrząc jedno na drugie ubrane podobnie. Tak udaliśmy się w naszą drogę, z przewodnikiem i jednym lubownikiem takich przechadzek. Naprzód kilkaset stopni przebyliśmy, — żałuję że ich nie liczyłam, ale to wiem pewno, że bardzo się zmęczyłam, przybywszy na dół, — a to tylko łatwa część naszej drogi. — Niebawem stąpiliśmy na małą ścieżkę, pełną zwiru ruchomego; aby nie dostać zawrotu głowy, nie patrzeliśmy pod siebie; a z góry spadywał pewien rodzaj mgły, podobny do gęstego deszczu ulicznego. Nakoniec idąc przez dość długą przestrzeń na rękach i nogach razem, przyszliznęliśmy do owej za-

słony wodnój, którą wodospad tworzy. Tu kazał nam przewodnik wyczołgać, dla przyzwyczajenia płuc naszych do ścieśnionego powietrza i do dalszych nateżeń.

Po wycoczynku, udaliśmy się pod wodospad. Boże, jak tu okropnie! Woda padała na nas strumieniami, a my nie mieliśmy innej ochrony, jak nachylenie głowy, aby się nie zalać. Im dalej, tym potop silniejszy, tym trudniej oddychać. Nareszcie zabrakło mi tchu i zajęłam głośno. Adrian mimo łoskotu usłyszał mnie i żałował, że pozwolił mi iść ze sobą, schwycił za ręce i chciał wracać; ale przewodnik wiedząc, że teraz trudniejszy powrót, pociągnął mnie za sobą; chwilę wahałam się, lecz wkrótce zebrawszy wszystkie siły, szłam dalej.

Tak przybyliśmy na miejsce, w którym można było bez niebezpieczeństwa wolniej oddychać i w górę patrzeć. Tu okropne widowisko; okropne i piękne zarazem, stać między przepaścią wód szelejących, a szczytem groźnej i wysokiej skały, na której zawieszona olbrzymia zasłona wody. Teraz, kiedy to piszę, mocno jestem wzruszona i zaledwie dać temu mogę wiarę. Nareszcie wróciliśmy na tę samą drogę. Adrian, śmiał się, ja zaś stękałam ze słabości i nie mogłam żadnej zebrać myśli z pod tak gwałtownego wrażenia. Nie wiem czy mój mąż lepiej umiał głowę uchronić lub pierś jego silniejsza, więcej była wytrzymała, dosyć że on zupełnie zdrowy, o mnie tylko się trudził, kiedy widział iż zupełnie osłabłam i bliską byłam uduszenia. Dzięki niebu, żeśmy się żywo wydostali z tej jaskini, mąż mój ciesząc się ze swego czynu bohaterskiego, ja zaś zaklinając się że nigdy na coś podobnego się nie odważę. Mimo naszego ubioru przemokliśmy aż do nitki. Nigdy nie brałam silniejszej kąpieli. Przebraliśmy się, wypoczęli i otrzymaliśmy zaświadczenie naszej odwagi i wpisano nas w księgę dzielnych, którzy podobnego dokonali dzieła. Owoż są wyznania moje, kochani rodzice; zapewne z namysłem będziecie ruszać głowami, ale kiedy jakotako się skończyło, spodziewamy się od was otrzymać rozgrzeszenie. Bądźcie zdrowi kochani rodzice, niebawem padnę w wasze objęcia; nadzieja ta mnie teraz pokrzepia.

## M O D Y.

Paryż, dnia 13. Lipca 1843.

Powszechną modą jest teraz szkotycyzm. Damy noszą szkockie szarfy, płaszczyki i suknie, mężczyźni szkockie krawaty, kamizelki i pantalone; dzieci szkockie czapki, szkockie bóćiki, szkockie ubiory.

*Ubranie na odwiedziny.* Suknia z jedwabnego pe-

kinu, w szerokie pasy, w kolorze kurzawy, w kształcie amazonek i z rękawami amadysowemi. Do tego szarfa z białego bareżu. Kapelusz z białej krepy ze wstążką białą, na obwodzie na krzyż upiętą. Kołnierz i mankiety koronkowe.

*Ubranie na wieczory.* Suknia ze szkockiego bareżu, w niebieską kratkę, na tle białym, zrobiona à la vierge, z krótkimi rękawami. Chusteczka à la Marie Antoinette z tulu wełnianego, orzucona koronkami, które jednak bardzo mało powinny być sfałdowane, na piersiach rozeta z niebieskiego grosdenaplu. Dwie rozety z podobnej wstążki przypinają się u tylnych części głowy, między uchem i splotem włosów, z dwiema lub trzema końcami wstążek z nich spadającymi, co jest pięknym i ozdobnym strojem głowy. Przepaska z niebieskiego grosdenaplu, z przodu wiązana. Rękawiczki z czarnego jedwabiu, półdługie. Trzewiki z czarnej tkaniny.

*Ubranie na wzięcie domowe.* Suknia z muslinu wełnianego. Stanik na ramionach sfałdowany, krótkie rękawy lub też długie z kokardami. Kołnierz i mankiety z jaconas, z haftem koronkowym.

*Ubranie na wyjście.* Do powyższego ubrania, dodaje się pelerynę białą lub czarną, koronką orzuconą, lekko fałdowaną. Kapelusz słomiany, wystrojony wstążką ciemnoniebieską lub zieloną, która obwód kapelusza obrzeża, główkę otacza, i ztąd na obwód zachodzi. Jeżeli pogoda nie sprzyja, polecamy tak zwany sac de cachemire, w kolorze niebieskim lub zielonym, haftowany perłami stalowemi. Ciemne bóćiki.

Młode panienki noszą kapelusze słomiane, podobne do zwyczajnych dla dorosłych, szkockie suknie z muslinu wełnianego; stanik całkiem fałdowany, wyścięty, a jeżeli jest chłodno, dodają do tego wielką pelerynę, orzuconą wysnuwką w kolorze sukni. Rękawy ozdobione kokardami, długie lub krótkie, pantalonki oszyte koronką. Bóćiki.

*Nowe tkaniny.* Organtyny biało lub kolorowo haftowane; tarlatany w liście różowe, i piękne „Oranges de Malte.“ Tafty pékinés powiększej części są w pasy; wielobarwne szkockie biorą na płaszczyki.

## Objaśnienie ryciny.

1. Krótki surdut z sukna brunatnego, z szerokimi wyłogami, obcisłymi rękawami i dużymi guzikami rogowemi. Poly fałdziste. Jasno kratkowane pantalone. Żółta kamizelka z stojącym kołnierzem.
2. Kapelusz krepowy, zdobny kwiatami i długimi wstążkami. Jedwabna suknia bez wystroju. Rękawy obcisłe. Szerokie mankiety wywiniete. Mantelet organtynowy, orzucony trzema wążkami falbanami.
3. Kapelusz ryżowy, z kwieciami pod obwodem i kolorowym piórem zdobny. Suknia biała muslinowa, stanik bluzowy wraz z przepaską z tej samej tkaniny. Rękawy obcisłe, układające się jednak we fałdy, na powłóce dwa szerokie ukosy. Szal długi z brzegiem kolorowo haftowanym.
4. Kapotka jedwabna, jak u 3. Szlafroczek, stanik i powłoka bufkami zdobne. Przepaska. Greckie rękawy, z podrękawami.
5. Kapelusz włoski słomiany, suty ustrój z krepy i kwiatów. Suknia bareżowa z wysokim stanikiem, kolorową przepaską, na powłóce trzy szerokie, wyzębione falbany. Wążka koronka u brzegu stanika.